

NIE IGRAJ Z CZASEM, BO ŚWIAT,
KTÓRY ZNASZ, PRZESTANIE ISTNIEĆ

TIME RIDERS

2001 2070 1912 1941 1193 1957 2066
MIASTO Cieni



ZIELONA
SOWA

ALEX SCARROW

Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo
w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2013

www.zielonasowa.pl



O Autorze:

ALEX SCARROW zaczynał jako grafik, po czym zdecydował, że zostanie projektantem gier komputerowych. W końcu dojrzał i został pisarzem. Napisał wiele popularnych thrillerów oraz kilka scenariuszy, ale to pisanie dla młodzieży pozwala mu do woli cieszyć się pomysłami i koncepcjami, którymi bawił się podczas tworzenia gier.

Mieszka w Norwicz z synem Jakubem, żoną Frances i psem rasy Jack Russell – Maxem.

Odwiedź witrynę www.time-riders.co.uk i zostań Jeźdźcem w Czasie.

Seria Time Riders:

Tom 1: Jeźdźcy w Czasie

Tom 2: Czas drapieżników

Tom 3: Kod apokalipsy

Tom 4: Wieczna wojna

Tom 5: Wrota Rzymu

Tom 6: Miasto cieni

Wkrótce kolejne tomy!

Alex Scarrow



Miasto cieni

Tłumaczenie: Karol Sijka



Tytuł oryginału: *Time Riders. City of shadows*

First published in Great Britain in the English language by
Penguin Books Ltd.

Copyright © Alex Scarrow, 2012

All rights reserved

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

Warszawa 2015

All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości
albo fragmentów książki możliwe jest tylko na podstawie pisemnej
zgody wydawcy.

ISBN 978-83-7983-161-6

Tłumaczenie: Karol Sijka

Redaktor prowadzący: Agnieszka Skórzewska

Redakcja: Magdalena Adamska

Korekta: Joanna Łapińska, Teresa Zielińska

DTP: Bernard Ptaszyński

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 96

tel. 22 576 25 50, fax 22 576 25 51

www.zielonasowa.pl

wydawnictwo@zielonasowa.pl

*Do Czytelników w Czasie – dziękuję
za Waszą dotychczasową cierpliwość.
Prawda w końcu zaczyna odsłaniać
swoje oblicze.
Niebawem... naprawdę niedługo wy-
darzy się coś cudownego.*

PROLOG

Nowy Jork
13 września 2001 roku

Roald Waldstein wpatrywał się w linię horyzontu nad Manhattanem. Spłowiączy kir pyłu wciąż spowijał bezbarwne niebo nad południowym krańcem miasta. Cienkie kosmyki dymu, unoszące się nad miejscem, w którym jeszcze dwa dni temu stały Bliźniacze Wieże, przywodziły na myśl niechlujnie starty rysunek w ołówku, widmo dwóch zawalonych budynków.

– Boże – powiedział. – To wciąż płonie.

– Mój tata mówi, że może tak płonąć tygodniami.

Roald odwrócił się do Chanice Williams.

– Poważnie?

– Mhm... – Z przekonaniem pokiwała głową, mechanicznie żując gumę. – To samo mówili w wiadomościach Fox News.

Jak wszyscy uczniowie Szkoły Podstawowej Clinton Hill, Chanice zamieniła się w niewolnika serwisów informacyjnych, które oglądała i przed pójściem do szkoły, i od razu po powrocie do domu. Kanały z kreskówkami tymczasowo poszły w odstawkę.

– Myślisz, że ktoś tam jeszcze żyje? – spytał Roald.

– Nie wiem. Ale słyszałam, że na wszelki wypadek wciąż szukają.

Patrzył na leniwie wzbijające się w powietrze chmury czarnego dymu.

– Mam nadzieję, że nikt nie zostanie tam pogrzebany żywcem. To byłoby straszne.

- Chodź. Musimy się zbierać do szkoły – napomniała Chanice.
- Spóźnimy się.

Roald ruchem głowy zachęcił ją, żeby sama wróciła uliczką.

– Trele-morele. – Cmoknęła z dezaprobatą. – Znowu dostaniesz uwagę. Pewien jesteś, Waldo?

- Zaraz cię dogonię.

Wszystkie dzieci mówiły na niego Waldo. Tak jak w kreskówce *Gdzie jest Waldo?* Wystarczyło pierwsze pięć minut pierwszego dnia szkoły, żeby to arcyśmieszne przezwisko przylgnęło do niego na dobre. Swoje zrobiły też oczywiście okulary w grubych oprawkach i niereformowalny kołtun włosów na głowie.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Zimny z ciebie trup, profesorku.

Patrzył, jak odwraca się i kłucząc, odchodzi uliczką, obchodząc kosz na śmieci i otaczającą go stertę odpadków.

- Zaraz cię dogonię! – krzyknął za nią.

– Zimny trup! – Znowu wzruszyła ramionami. – Tylko nie spóźnij się na sprawdzanie listy! – odkrzyknęła przez ramię. – Pani Chudasama wpadnie w szal.

Obrócił się na pięcie i wrócił do oglądania horyzontu. Przez most Williamsburg hałaśliwie przewalił się pociąg zmierzający w stronę Manhattanu. Ludzie mówili, że pociągi i metro na Manhattan kursowały niemal puste – same wolne miejsca. Wszyscy bali się, że zaraz znowu zdarzy się coś niedobrego: katastrofa kolejnego samolotu lub wybuch bomby.

To samo powtarzała jego mama, której oczy – tak jak oczy Chanice, oczy każdego nowojorczyka i każdego Amerykanina – zrobiły się wiecznie zapuchnięte z niewyspania. „Wróć tu. Wróć, żeby nas wszystkich wykończyć. Przekonasz się”.

W ich kawalerce mieszkał on, jego matka i telewizor. Kobieta pracowała dorywczo w trzech różnych miejscach, a wszystkie nieliczne wolne chwile spędzała na oglądaniu telewizji przy odgrzewanych kolacjach i tostach na śniadanie. Jej przyjaciółmi byli Montel Williams,

Sędzia Judy i Oprah Winfrey. Nie zdarzało jej się mówić o niczym innym ponad to, o czym danego dnia pisano w gazetach. Właściwie rzadko miała do powiedzenia coś oryginalnego lub choć odrobinę interesującego. Ale tego ranka było inaczej. Powiedziała coś, co głęboko wryło mu się w pamięć.

Odwróciła się od małego czarno-białego telewizora w kuchni, z parującym kubkiem kawy w jednej ręce i tłącym się papierosem w drugiej, po czym spojrzała na synka.

– Roaldzie, czy nie chciałbyś cofnąć się do wtorku rano i ostrzec tych biedaków, żeby nie szli do pracy? Albo... po prostu... zjawić się tam i krzyknąć „pożar”?

Kiwnął głową, przypominając sobie tamtą scenę. Taki mały krok w czasie. Tylko dwa dni wstecz pozwoliłyby ocalić trzy tysiące istnień.

Odwrócił się od East River. Na odsłoniętej po odpływie plaży za balustradą walały się śmieci i odpadki – pieluchy, wózki sklepowe, plastikowe torby – między którymi buszowały mewy wypatrujące łakomych kąsków.

„Tylko dwa dni”.

Ruszył z powrotem w górę uliczki. Przeszedł obok zabitej deskami arkadowej konstrukcji. Stary, rdzawoczerwony magazyn obito płytami wiórowymi, na których miejscowe bandziory zdążyły wymalować sprayem symbole swoich gangów. W miejscu jednej z płyt, którą ktoś musiał wcześniej odciągnąć, znajdowała się podciągnięta do połowy metalowa roleta z falistej blachy. Przyklęknął i zajrzał do środka. Ciekawe. Matka zawsze ostrzegała, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła – albo dzielnicowego komisariatu policji. Lepiej pilnować własnego nosa.

Przytłumione światło dnia wypchnęło panującą w środku ciemność, dzięki czemu dostrzegł, że z pomieszczenia regularnie korzystali narkomani albo włóczędzy. Rozbite butelki, porzucone igły, brudne materace. Zapomniana część Brooklynu. Ciekawe, kto ostatnio tu mieszkał i jaki prowadził interes. Ciekawe, kiedy to

miejsce zamieniło się w narkomańską melinę, w zwykłe, pograżone w mroku pomieszczenie pod starym mostem.

– WAL-DO!

Spojrzał w górę uliczki. Chanice, dobra dziewczyna, niecierpliwie stuknęła nogą w chodnik. Czekwała na niego z naburmuszoną miną starszej siostry. Przyłożyła dłoń do ust i krzyknęła:

– Naprawdę nie chcesz się znowu spóźnić. Rodzona matka cię zabije! Chodźże już!

– Idę! – Wprostował się i odwrócił, po raz ostatni zerkając na chmurę dymu spowijającą niebo nad Manhattanem.

Nowy Jork 10 września 2001 roku

– Panie Waldstein? S-sir?

Roald Waldstein odwrócił się i zobaczył nadchodzącego doktora Josepha Oliverę. Mężczyzna podszedł do balustrady i obaj utkwili wzrok w spokojnych wodach East River.

– Przepraszam, Josephie – powiedział Waldstein. – Błądziłem myślami setki mil stąd.

– Ach... nic się nie stało, panie Waldstein.

Roald uśmiechnął się. Lubił Oliverę. Naukowiec przywodził mu na myśl jego samego z czasów młodości: był głodny wiedzy, chciał udowodnić światu, że jego żywy umysł jest zdolny do wielkich rzeczy. Pragnął podarować ludzkości wspaniałą technologię: udowodnić, że można cofnąć się w czasie przez membranę czasoprzestrzeni. Że to tak proste, jak przejście przez wystrzępioną dziurę w przestrzadle.

– Wiesz, Josephie, znalazłem to miejsce, kiedy byłem małym chłopcem. Miałem wtedy jedenaście lat.

– Słucham?

– Mówię o tym miejscu – powiedział Waldstein, odwracając głowę w stronę alejki. – O tym magazynie pod arkadami. Nikt się tu nie zapuszcza. To prawdziwa pustelnia.

– Pan... pan tutaj mieszkał?

– Na Brooklynie? – Skinął głową. – Do Chicago przeprowadziłem się po śmierci matki. Od tego czasu mieszkam ze swoją ciotką.

Olivera pokiwał głową. Tę część biografii legendarnego człowieka – to jest od momentu jego przeprowadzki do Chicago – znał bardzo dobrze. Ale dzieciństwo Waldsteina – pierwsze lata życia spędzone z matką – spowijała mgielka tajemnicy. Naukowiec prawie nigdy nic na ten temat nie mówił. Jeden z dziennikarzy stacji multimedialnej ochrzcił go raz przydomkiem „koszmar biografii”.

– To idealne miejsce – powiedział Waldstein. – Nigdy o nim nie zapominałem. Ani o lokalizacji, ani o czasie. Jutro, Josephie, oczy wszystkich nowojorczyków zwrócą się ku niebu. Moglibyśmy przez cały boży dzień paradować po tej uliczce w strojach klaunów, a i tak nikt by nas nie zauważył.

– Tak, sir.

– Idealne miejsce – mruknął Waldstein i uśmiechnął się tęsknie.

Przysłuchiwali się odległemu szumowi porannego ruchu i krzykowi killkunastu mew, które puszyły się na plaży wśród sterty śmieci, walcząc o skrawki jedzenia.

– Panie Waldstein? Czy mogę zadać panu pytanie?

Starzec uśmiechnął się i odgarnął z oczu grzywę dziko splątanych włosów.

– Pytaj, Josephie. Ale nie obiecuję udzielić odpowiedzi.

Olivera wciągnął powietrze w płuca. Był wyraźnie podenerwowany. Waldstein wiedział, jakie pytanie za chwilę padnie. Gdy wreszcie jego

pracownicy zdobywali się na odwagę, zawsze pytali o to samo. Postanowił pozwolić Oliverze kontynuować znajomy scenariusz. Lepiej mieć to z głowy.

– Panie Waldstein, czy kiedy translokował się pan... po raz pierwszy w dwa tysiące czterdziestym czwartym roku, podczas prezentacji w Chicago...

„Zaczyna się. – Uśmiechnął się półgębkiem. – Tak... znów to samo pytanie, poradzę sobie”.

– Czy... czy udało się panu zobaczyć...

– Żonę? Dziecko?

Olivera skinął głową i wbił nerwowe spojrzenie w Waldsteina. Ten podejrzewał, że Joseph długo zbierał się w sobie. Na pewno przez ostatnie kilka miesięcy w instytucie i ostatnie tygodnie tutaj wypatrywał tylko dogodnego momentu, w którym mógłby o to spytać. Właśnie nadeszła ta długo oczekiwana chwila. Młodzieniec uznał, że już czas.

Waldstein westchnął, przywołując blaknące wspomnienia tamtego dnia. To właśnie planował. Czyż nie? Miał ostatnią szansę, by pożegnać się z obojgiem. Powiedzieć, jak bardzo ich kochał. Przed wypadkiem nigdy nie miał czasu na wypowiedanie czułych słówek. Za bardzo absorbowwała go praca. Nigdy nie zdążył powiedzieć magicznego: „Kocham was”. To jedno, poza tym była to świetna okazja, żeby udowodnić publiczności, zaproszonym dziennikarzom, że teoria Tachionów Chana-Jacksona – po wprowadzeniu kilku modyfikacji w zakresie kanałowania neutrinowego – może mieć praktyczne zastosowanie.

Olivera nerwowo przełknął ślinę, czekając, aż Waldstein udzieli odpowiedzi. W domu, w dwa tysiące pięćdziesiątym czwartym roku, to pytanie dorobiło się własnej nazwy. „Enigma Waldsteina” – takiego skrótu myślowego używano. Albo mówiono po prostu o „Pytaniu za miliard dolarów”. Dziennikarz, któremu udałooby się wyciągnąć z niego odpowiedź, nigdy nie musiałby już pisać żadnego nowego artykułu.

Waldstein odwrócił się do Olivera. Bawiła go myśl, że może udzielić prawdziwej odpowiedzi temu młodzieńcowi. Albo przynajmniej wyjawić, czego tak naprawdę nie udało mu się zobaczyć.

– Z żalem muszę przyznać – cedził słowa – że... już nigdy ich nie zobaczyłem, Josephie.

„No i masz ci los... nigdy nikomu więcej nie wyjawilem”. – Miał nadzieję, że ta odpowiedź usatysfakcjonuje młodzieńca.

Grdyka Olivera podskoczyła. Niespokojnie przestępował z nogi na nogę. Oblizywał usta. Wydawało mu się, że chwycił byka za rogi, wystarczy zadać jeszcze jedno proste pytanie.

– I... co takiego pan zobaczył, panie Waldstein?

Waldstein zaśmiał się z cicha. I potrząsnął głową.

– Proponuję, Josephie, żebyśmy zakończyli w tym miejscu, zgoda?

– Ja... – Policzki Olivera zarumieniły się. Spuścił wzrok z wyrazem zawstydzenia na twarzy. Miał świadomość, że przekroczył granicę. – Prze-przepraszam, sir. Ja...

– Nic się nie stało. Prędzej czy później wszyscy o to pytają, Josephie. Wszyscy.

Zapadło kłopotliwe milczenie, młodzieniec czuł rosnące zażenowanie. Waldstein szybko wybawił go z udręki.

– Masz dla mnie jakieś nowe informacje, tak?

– Hmm?... Ach, tak! Mam, sir. Matryce sztucznej inteligencji są gotowe. Sprawdziłem je i uruchomiłem symulacje. Są w stu procentach stabilne.

– Świetnie. W takim razie niedługo wgramy je do umysłów jednostek.

– Są już prawie wychodowane, sir. Cykl wzrostowy dobiegnie końca za godzinę.

Waldstein delikatnie poklepał go po ramieniu. Pojedynczy gest miał uspokoić młodzieńca, że nic złego się nie wydarzyło.

„Tego kota ciekawość nie zabiła. Prawda, mam?”.

– Wracajmy do środka i sprawdźmy, co z nimi.

ROZDZIAŁ 1

Nowy Jork
rok 2001

Środa, 12 września dwa tysiące pierwszego roku

Jeśli to czytasz, na pewno uwielbiasz przeszukiwać kosze na śmieci i czytać wszystkie zwinięte w kulkę i wyrzucone precz kartki papieru. No dobrze, wypada mi się przedstawić, łowco śmieci — mam na imię Sal.

To wszystko, co powinienes wiedzieć o moim imieniu.

Mam czternaście lat. Chyba. Choć właściwie teraz mogę mieć już piętnaście. Nie jestem pewna. Pochodzę z Indii. A teraz uwaga, czas na małą zagwozdkę — jestem z dwa tysiące dwudziestego szóstego roku. Tak, dobrze przeczytałeś. Proszę... czytaj dalej. Nie wyrzucaj pochopnie tej kartki. Nic nie myśl, stuknięta też nie jestem. Po prostu czytaj dalej... na razie. Dobra?

Zanim zaczęłam pisać te słowa, przez moje życie przeszła burza. Ale tak naprawdę musisz tylko wiedzieć, że w tym momencie czuję się zagubiona. Wystraszona. Straciłam kolejny dom. Nie możemy już wrócić do Łuku. Miejsca, w którym mieszkaliśmy. Maddy mówi, że nigdy nie będziemy tam mogli zamieszkać ponownie. Nigdy przenigdy. Zostało odkryte — tak powiedziała. Zdemaskowane. Nie jest już bezpieczna kryjówka.

Teraz nie mamy gdzie się skryć. Zostaliśmy całkiem sami ze starym autobusem-ogórkiem, który Maddy nazywa „kamperem”. Na Jahullę, prawdziwy z nas gabinet osobliwości. Maddy przykładowo to straszny nerd z dwa tysiące dziesiątego roku. Z nas wszystkich czuje się w tych czasach najswobodniej. W dwa tysiące

pierwszym miała dziewięć czy dziesięć lat, więc dobrze pamięta ten okres. Następna osoba to Liam, jest stewardem ze statku. A właściwie nim był. Pracował na Titanicu. Tak. Na tym Titanicu, który zatonął w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku. On to dopiero czuje się tu jak na księżycu (ha, ha). W dwa tysiące pierwszym stacjonujemy już od ładnych kilku miesięcy, a on wciąż sprawia wrażenie dziadziałego półgłówka, choć teoretycznie ma raptem szesnaście lat.

Mamy też Fosterą. Ten nie tylko robi wrażenie staruszka (jak Liam). On jest naprawdę stary. Ma koło dziewięćdziesiątki i jestem niemal przekonana, że właśnie umiera. Wie najwięcej z nas wszystkich na temat Agencji Waldsteina. To on zwerbował nasze poprzednie wcielenia. Ale nawet on nie wie, kto nasłał na nas zabójców. Bo ktoś się o nas dowiedział, o tym, co tu robimy, żeby zabezpieczyć oś czasu.

Poza tym jest też z nami mężczyzna o imieniu Rashim. Musi z nami zostać na jakiś czas. Wyciągnęliśmy go ze skażonej wersji historii starożytnego Rzymu, bo nie powinien się w niej znajdować. Wybrał się do tamtej epoki wraz z grupą innych osób z dwa tysiące siedemdziesiątego roku.

Aha... o tym też powinienś wiedzieć. To naprawdę ważne. Świat dwa tysiące siedemdziesiątego roku umiera. Albo niebawem zacznie. Dlatego postanowili cofnąć się w czasie. Chcieli zacząć od nowa: dać ludzkości drugą szansę na odbudowanie lepszego świata. Ale tego nie można zrobić, rozumiesz? Nie można tak po prostu igrać z historią. Bo ona może podążać tylko JEDNĄ DROGĄ. Nazywaj to jak chcesz, przeznaczeniem, losem, fatum, kismet. Jak mówi Foster: „Na dobre czy na złe, historia może biec tylko jednym, prawdziwym torem. Jeśli spróbujesz go zaburzyć, ujrzysz oblicze chaosu... a piekło otworzy przed tobą swoje podwoje”.

(Tak naprawdę nie jest tak nawiedzony, jak wynikałoby z przytoczonego zdania).

Właśnie dlatego zostaliśmy ocaleni, „zwerbowani” do pracy w Agencji założonej przez człowieka o nazwisku Waldstein — to sławny wynalazca i miliarder z przyszłości.

Oprócz nas są jeszcze dwa klony ludzi. Mają procesory zamiast mózgów. To Bob i Beki. Człowiek Goryl i Królowa Lodu. Są „wyjątkowi”. Zostańmy przy tym określeniu.

Ach... prawie na śmierć zapomniałam, mamy też robota z dwa tysiące siedemdziesiątego roku; stwór wygląda jak skrzyżowanie szafki biurowej z bohaterem starej kreskówki, którą w dzieciństwie oglądali moi rodzice, SpongeBob Kanciastopoty. Rashim zaprojektował go tak dla żartu chyba.

To właśnie my. Jak już pisałam, prawdziwa z nas gromada dziwołagów, a teraz salwujemy się ucieczką przez kraj, w którym nagle zaczęło budzić podejrzenia wszystko, co choć nieznacznie odbiega od normy. To by było na tyle z tajnego charakteru misji.

Uciekamy przez Amerykę pogrążoną w traumie po wydarzeniach z wczoraj, z 11 września. Na twarzach wszystkich ludzi maluje się to samo uczucie: każdy spodziewa się kolejnego zamachu terrorystycznego, porwania następnego samolotu.

Podejrzewam, że mój tata powiedziałby do Amerykanów coś w stylu: „Na Jahullę, lepiej się do tego przyzwyczajcie” – biedak przeżył w końcu zamachy terrorystyczne z lat dwudziestych nowego milenium. Widział wszystkie te ohydne ataki bombowe i terrorystów samobójców, no bo to był przecież stały element krajobrazu północnych Indii.

Shadd-yah. Czy kiedykolwiek istniały czasy, w których ludzie nie próbowali się wymordować?

Uciekamy więc. Nie mogę powiedzieć dokąd. Nie, nie powiem, gdzie się udajemy. Bo, drogi czytelniku, możesz być JEDNYM Z NICH! Ostrożności nigdy za wiele, prawda? Ale mamy plan. Tak jakby. Jedziemy do pewnego miejsca, ale po drodze zatrzymaliśmy się w przydrożnym centrum handlowym z restauracją i stacją benzynową. Ostatnie dwa dni to istne szaleństwo. Chaos. Panika nakręca panikę.

Musiałam to napisać. Pisanie pomaga wyprostować myśli. No więc tak to wygląda. Czy nasza misja polegająca na powstrzymaniu pinchudańskich kretynów przed majsterkowaniem w czasie straciła sens? Czy Agencja przeszła w stan likwidacji? Czy zostało nam już tylko odnalezienie odpowiedniej kryjówki? Utrzymanie się przy życiu? Nie wiem. Nie wiem, co przyniesie kilka najbliższych tygodni. Jahulla, nie wiem nawet, co przyniesie kilka najbliższych dni.

Nie wiem też, czy ostatnie sześć miesięcy wydarzyło się naprawdę. Czy śnię jeden wielki koszmar, po którym obudzę się w swoim pokoju w Mumbaju w dwa tysiące dwudziestym szóstym roku?

Miła myśl.

Ach... swoje już napisałam. Pewnie i tak za dużo Ci wypaplałam. Powinnam to podrzeć. Spalić. Zjeść albo inaczej zniszczyć. A może włożę to do pudełka z Burger Kinga z resztką zimnych frytek i okłapyłym ogórkiem – w ten sposób na pewno nikt tego nie znajdzie.

Ale pisanie trochę mi pomogło, chyba.

Na inie mi Sal i, jak już pisałam, jestem zagubiona i lekko wystraszona, a to, co się dzieje wokół mnie, zupełnie mi się nie podoba.

ROZDZIAŁ 2

Nowy Jork
11 września 2001 roku

Maddy zdjęła okulary i ukryła twarz w dłoniach. Między palcami zasyczało wydychane powietrze: długie, senne westchnienie miało dać do zrozumienia pozostałej dwójce, Liamowi i Sal, żeby się przymknęli i dali jej wreszcie pomyśleć.

W bazie panowała cisza, nie licząc zwykłych odgłosów: niewyraźnego warkotu pompy filtracyjnej pracującej na zapleczu, pluskania kapiącej skądś wody, cichego szumu wiatraczków wirujących w kilkunastu komputerach. Zwykłe, codzienne dźwięki. Brakowało może tylko bzdurnych dysput pomiędzy Liamem i Sal grającymi w *Mario Kart* na konsoli Nintendo.

– Hej, co się stało tej dziewczynce, skippa? – zagadał Sponge-Bubba.

Maddy uniosła dłoń, by uciszyć robota laboratoryjnego.

– Dobra. – Jej głos tłumiła druga ręka trzymana na ustach. – Powiem wam, co powinniśmy zrobić. – Wyprostowała się, nasunęła okulary i odwróciła w kierunku monitorów stojących na biurku, po czym odezwała się wprost do kamerki internetowej. – Komputerze-Bob?

Na ekranie za kamerką pojawiło się czarne, dosowskie okno dialogowe.

> Słucham cię, Maddy.

– Uda ci się zresetować pole translokacyjne do poniedziałku?

Był wtorek, wczesne popołudnie. Miasto ogarnął paraliż: nieba nie przecinały samoloty pasażerskie, prezenterzy telewizyjni powiedzieli już wszystko, co należało powiedzieć, a nowojorczyści wciąż nie byli pewni, czy wypadki ostatnich kilku godzin wydarzyły się naprawdę i czy Bliźniacze Wieże rzeczywiście doszczętnie runęły.

> Potwierdzam.

– Więc to zrób. Natychmiast!

– Co się dzieje? – dopytywał Rashim.

– Cofniemy się w czasie – odparła Sal. – O dzień.

Młody technolog wciąż sprawiał wrażenie oszołomionego. Maddy i pozostałych spotkał – z subiektywnej perspektywy czasowej – raptem kilka godzin temu, w epoce starożytnego Rzymu, kiedy to próbował dyskretnie rozlokować stację odbiorczą, w której miała wylądować reszta jego grupy. Ale to już przeszłość, albo i nie, zależy od przyjętego punktu widzenia. Znalazł się tutaj, wśród tych dziwnych ludzi, którzy nie mogli go ot tak zostawić bez żadnego dozoru. A projekt Exodus, projekt, któremu poświęcił kilka ostatnich lat swojego życia... cóż, nigdy nie zostanie stworzony. Porywając go, powstrzymali grupę trzystu uchodźców z przyszłości przed całkowitym wykołajeniem historii.

Dobrze wykonali swoją robotę. A on i jego kreskówkowa jednostka laboratoryjna dołączyli do zespołu.

– Więc w którym dokładnie roku znajduje się to miejsce? – spytał Rashim, rozglądając się po pomieszczeniu pod arkadami. W jego głosie czuć było rosnący niepokój. – To technologia dwudziestego, może dwudziestego pierwszego wieku, sądząc po wyglądzie tych urządzeń. Prawda? Mam rację?

– Dzisiaj w wieże uderzyły samoloty – wyjaśnił Liam.

– Jedenasty września dwa tysiące pierwszego roku – szybko doprecyzowała Maddy. – To nasz wyjściowy czas operacyjny, nasze biuro terenowe. Pracujemy w tym miejscu od kilku miesięcy.

W oknie dialogowym zamigotał kursor.

> Odsuńcie się. Właśnie resetuję pole.

Usłyszeli cichy jęk energii wtłaczanej do wehikułu translokacyjnego, światła fluorescencyjne zawieszone pod niskim sufitem bazy niespodziewanie zgasły i po sekundzie rozbłyły ponownie. W Łuku panował taki sam bałagan jak w dniu, w którym Mads i Sal cofnęły się w czasie do epoki panowania Kaliguli. Robienie porządków było jednak ostatnią rzeczą, na którą miały teraz ochotę.

– A teraz... jest wczoraj – powiedziała Maddy. – Dzień przed jedenastym września. – Usiadła na krześle przed biurkiem i wzięła głęboki oddech. – Dzięki czemu przez najbliższą dobę możemy swobodnie pooddychać, zanim te psychotyczne maszyny do zabijania wrócą tu, żeby nas wykończyć.

Rashim uniósł czarne brwi, patrząc to na Maddy, to na pozostałych, w nadziei, że któreś z nich poratuje go choć słówkiem wyjaśnienia.

– Psychotyczne...?

– To jest ich więcej? – spytał Liam.

– Chyba zostały jeszcze dwa – odpowiedziała Sal. – Łącznie było sześć.

– Ale co to dokładnie za zabójcy? – spytał Rashim.

– Sześć! Jezu! – Liam szeroko otworzył usta. – Naprawdę udało się wam zabić czwórkę?

– Czy ktoś zechciałby mi łaskawie wyjaśnić, o jakich psychotycznych mordercach mowa?

– Tak. Całkiem nieźle sobie poradziliśmy, nie?

Liam wybuchnął śmiechem.

– Powiedziałbym...

Rashim przymknął oczy.

– PRZESTAŃCIE MNIE WRESZCIE WSZYSCY IGNOROWAĆ, BŁAGAM!

Pozostali spojrzeli na niego.

– Ja... ja... – Rashim otworzył oczy, a po jego twarzy przemknął cień przepraszającego półuśmiechu. – Niewiele... niewiele brakuje...

żebym postradał zmysły. Proszę – dlaczego zwyczajnie nie odpowiecie mi na kilka prostych pytań?

Sal wskazała Boba.

– Psychotyczne roboty, o których mówimy, to klony, jednostki pomocnicze podobne do tej dwójki. Czterech mężczyzn i dwie kobiety. Przybyli z przyszłości, żeby nas zabić.

Rashim z wdzięcznością kiwnął głową, po czym bez słowa otaksował Boba wzrokiem.

– To produkt genetyczny klasy bojowej, prawda? Jedna z pierwszych wersji genetycznych?

– Potwierdzam – zadudnił Bob.

– Dwóch jednostek pozbył się komputer-Bob – wyjaśniła Maddy. – Jednego robota porwała fala czasu. Chyba. Kolejnego... cóż, sami widzieliście, co się wydarzyło.

Jedna z jednostek zdołała wskoczyć za Maddy i Sal do zapadającego się portalu awaryjnego, który pośpiesznie otworzyli. I choć wyłoniła się po drugiej stronie z uciętymi stopami i dłonią, wciąż była śmiertelnie groźna. Gdy Bob trzymał ją w klinchu, Maddy wpakowała w jej łysą, ludzką czaszkę kilka serii pocisków. Pierwszy – i daj Boże ostatni – raz strzelała w kogoś z tak bliska.

– To było ich sześcioro? – dopytywał Rashim.

– Tak – przyznała Maddy. – Została jeszcze dwójka, która może być gdzieś w Nowym Jorku.

Sal przysunęła drugie krzesło i usiadła obok Maddy, zwieszając nogi i szurając czubkami butów po podłodze.

– Mogą tu przybyć kolejne – rzekła. – Prawda, Maddy? Kolejna szóstka?

Maddy ponuro skinęła głową.

– Był wtorek rano, wczesny ranek, wtedy tu przybyły. Teraz jest poniedziałek, dwunasta w południe. A to oznacza, że do ich powrotu zostało osiemnaście, góra dziewiętnaście godzin. A jeśli kolejna seria – praktycznie rzecz biorąc, chyba ta sama seria – się nie pojawi,

wciąż musimy uważać na pozostałą przy życiu dwójkę. Na pewno gnają już na złamanie karku z miejsca, do którego wysłał je komputer-Bob. Dobrze mówię, Bob?

> Potwierdzam.

– Potwierdzam.

Bobowie odpowiedzieli na pytanie niemal jednocześnie.

Maddy odwróciła się i uważnie spojrzała na pozostałych.

– Z dwójką może jakimś cudem sobie poradzimy. Ale co, jeśli w bazie zmaterializuje się kolejna szóstka...? – Przygryzła wargę i skrzywiła się. Pomyślała, że jeżeli będzie strzelała takie miny, to nie natchnie swojej małej drużyny pewnością siebie.

– Moglibyśmy zastawić pułapkę – powiedział Liam. – Jak tylko przybędą, Bob otworzy portal i wrzuci ich do przestrzeni chaosu. Czy nie moglibyśmy tak zrobić?

– Pewnie moglibyśmy. – Maddy wzruszyła ramionami. – Ale nie rozumiałeś, o co chodzi, Liamie. Nie chwytasz sedna sprawy.

Liam rozłożył tylko ręce, poirytowany protekcyjnym tonem jej głosu.

– Czyli?

– Ktoś się o nas dowiedział, Liamie. Ktoś wie, gdzie i kiedy dokładnie stacjonujemy. Przestaliśmy być tajną organizacją.

– Czy to znaczy, że wciąż grozi nam niebezpieczeństwo? – szepetem spytała Sal.

– Jeśli tu zostaniemy, to tak. – Słowa Maddy rozbrzmiały w całej bazie, pogłos odbił się od wilgotnych ceglanych ścian i zdawało się, że złośliwie zawisł w powietrzu, nie chcąc odpłynąć.

Liam zmiał w ustach przekleństwo.

– Cudownie. A ja właśnie zacząłem się przyzwyczajać do tego miejsca, w rzeczy samej.

– Myślę, że powinniśmy odejść stąd jak najszybciej – powiedziała Maddy, rozglądając się po ponurym wnętrzu. Zdecydowanie nie było to miejsce, na które ktokolwiek mógłby patrzeć z sentymentem. Ale ten ponury magazyn stał się ich domem. Bezpieczną

kryjówką, przystanią, schronieniem. I tak, w nielicznych przerwach pomiędzy gaszeniem nieustannych pożarów, doświadczyli tu chwil... to chyba nie za duże słowo... szczęścia.

Radości. Miłych chwil. Przeplatanych oczywiście przerażającymi wydarzeniami.

Liam westchnął.

– Ach, trudno. – Na takie tylko słowo pocieszenia potrafił się zdobyć. – Ach, trudno.

– To tylko sterta cegieł – odpowiedziała Sal bez przekonania.

Pękaty robot laboratoryjny wykrzywił plastikową twarz i zmarszczył kartoflasty nos, omiatając okrągłymi i wiecznie rozwartymi oczami tonące w mroku pomieszczenie.

– Tu jest straszny bajzel. Nie bardzo mi się podoba.

– Może i tak, ale to jest nasz dom – powiedziała Maddy.
– A raczej był.

Rozejrzała się po popękanej, wybrzdżonej podłodze, zatrzymując wzrok na płytkiej wyrwie w betonowej wylewce – w miejscu, gdzie musieli otworzyć wiele niezaplanowanych portali awaryjnych. Przeniosła spojrzenie na grubą spiralę zawieszonych pod sufitem kabli, z której kiedyś zeskoczył kredowy mięsożerca i na ich oczach zmasakrował człowieka. Powiodła wzrokiem wzdłuż kabli ciągnących się przez całą długość podłogi – na nich z kolei leżał kiedyś rząd martwych i umierających żołnierzy Konfederacji i Unii, mężczyźni, którzy tonęli w oparach bitwy, żebząc o kroplę wody i wykrwawiając się w wojnie, która nigdy nie powinna się była wydarzyć. Wreszcie spojrzała na ściany wokół rolety – fragment kruszejącej zaprawy, którą szponiastymi palcami wyskubywali napromieniowani ludzie-mutanty próbujący wedrzeć się do środka i pożreć ich żywcem.

I jeszcze to: spoczywająca na biurku, przy którym siedziała, odrąbana głowa młodej kobiety – szare oczy, piękne szare oczy, zamglone i martwe, rozrąbana czaszka, wyzierająca z niej krwawa tkanka i osadzony głęboko mały, bezcenny mikrochip.

„Ach, wspomnienia. Bezcenne wspomnienia” – bez entuzjazmu zauważyła Maddy.

– Masz rację, Sal, to tylko sterta cegieł. Im szybciej się stąd wyniesiemy, tym lepiej.

ROZDZIAŁ 3

Nowy Jork
10 września 2001 roku

Maddy wysiadła na stacji metra na Manhattanie. Gdy wyszła na Pięćdziesiątą Siódmą, poczuła ciepłe promienie słońca na twarzy. Południe, właśnie o tej porze dnia można spotkać staruszką w Central Parku. Tak umówił się z nią Foster, taką właśnie zawołaną obietnicę złożył jej w dniu, w którym opuścił drużynę po ukończeniu pierwszej misji.

„Zawsze znajdziesz mnie tu o tej samej porze, będę karmił gołębie”.

Przez ostatnie pół roku odwiedziła go z tuzin razy. Pół roku ich „bankowego czasu” – cyklicznie powracających poniedziałków i wtorków, dziesiątego i jedenastego dnia miesiąca. Zawsze, gdy siedziała obok niego na tej samej ławeczce naprzeciwko stawu z kaczkami, obok wózka z hot dogami, dla Fostera było to pierwsze spotkanie, od czasu kiedy opuścił drużynę i pozostawił ją u steru. Rzeczywistość poza polem ochronnym biegła linearnie, stanowiła sekwencje wydarzeń doświadczanych przez wszystkich ludzi w rozsądnym, chronologicznym porządku.

Ale dla Maddy i pozostałych to czas biegnący wewnątrz bazy wydawał się linearny, a wszystko poza nią przypominało dziwny, niekończący się, czterdziestoośmiogodzinny Dzień Świstaka.

Raz spytała staruszka, dlaczego nigdy nie wpadła na swojego sobowtóra. Odpowiedź, jakiej udzielił, była jednocześnie prosta

i, nie wiedzieć czemu, dziwnie tajemnicza: „Nie należysz do tej osi czasu, Maddy. Żadne z was nie należy. Równie dobrze moglibyście być przybyszami z kosmosu, bo ziemską logiką przyczynowo-skutkowa was nie dotyczy”.

Jak zawsze siedział na ławce odwrócony do niej plecami, wystawiając do słońca pomarszczoną twarz. Ubrany był w ten sam granatowy sweter na guziki, zbyt luźny na jego wąską talię, a w rękach, pokrytych wątrobowymi plamkami, miętosił tę swoją wysłużoną, poprzecieraną bejsbolówkę Yankeesów. Przystanęła na chwilę za kolejką ludzi przy wózku z hot dogami i obserwowała go przez chmurę pary unoszącej się nad rusztem.

Na jego głowie powiewała srebrno-biała rozczochrana, zwihrzona grzywka. Teraz, gdy Maddy już wiedziała, gdy wszyscy wiedzieli, podobieństwo było takie oczywiste. Zastanawiała się, jak to możliwe, że wcześniej nikogo to nie uderzyło. Foster i Liam byli do siebie tak podobni. Tak, czas może całkowicie odmienić fizys człowieka, ale pomimo upływu lat pewne rzeczy nie ulegają zmianie: kształt i osadzenie oczu, mimika, swobodny sposób siedzenia osoby, której zdaje się, że nie jest obserwowana – to rzeczy unikatowe jak odciski palców.

Liam i Foster to ta sama osoba, a ona tego nie dostrzegła, dopóki jej o tym nie powiedział.

Starzec nie wyjaśnił jej, jak to możliwe. Ani słówkiem. Dorabiała własne teorie. Być może jeden z nich nie należał do tej osi czasu, być może jeden z nich przeszedł przez przestrzeń chaosu z innego podobnego świata, a teraz w tej rzeczywistości przypadkowo istnieje ich dwóch. Zastanawiała się, czy poza wymiarami, których natury nie próbowała nawet zgłębiać, istnieje staruszka Maddy.

Doszła do wniosku, że raczej nie. Znała swoje fatum. Pewnie w każdym wymiarze jest wiecznie zestresowaną wszystkim i wszystkimi nastolatką, która umrze w bardzo młodym wieku. Jeśli nie z powodu nadciśnienia, to na atak serca.

„Niezła myśl”.

Gdy obeszła kolejkę, Foster odwrócił wzrok od stadka gołębi walczących u jego stóp o okruszki chleba. Na jej widok w starych oczach zatańczyły młodzieńcze ogniki.

– Ach! – Uśmiechnął się. – Znalazłaś mnie!

Ostrożnie uniosła dłoń, aby go grzecznie uciszyć.

– Zawsze znajduję.

Foster się zaśmiał.

– Czy mam przez to rozumieć, że już się tutaj spotkaliśmy?

Maddy skinęła głową.

– Kilka ładnych razy. – Rozejrzała się po parku, dłużej zatrzymując wzrok na stawie z kaczkami i sprzedawcy hotdogów. – Przypomina to *Happy Days*. Serial, który kiedyś w kółko oglądałam.

– Rozmowa ze mną musi przypominać pogawędkę z osobą dotkniętą...

– Alzheimerem?

Foster uśmiechnął się szeroko.

– Już to kiedyś mówiłem, prawda?

– Tylko za każdym razem, gdy się spotykamy. Posłuchaj, Foster – powiedziała, siadając na ławce obok niego. – Tym razem będzie inaczej.

– Tak?

– Musimy opuścić Nowy Jork.

– Opuścić? Dlaczego?

Maddy wyjaśniła wszystko tak treściwie, jak to możliwe: opowiedziała o napisanej odręcznie wiadomości z informacją o Pandorze, którą zostawił jej tajemniczy informator; o wysłaniu do Agencji w przyszłości wiadomości z prośbą o wyjaśnienie, czym jest Pandora. A później, w wielkim skrócie, powiedziała mu o oddziale jednostek pomocniczych, które pojawiły się w bazie zdeterminowane, by ich wszystkich wymordować.

– Nie pojmuję, co się dzieje, Foster. Ktoś zdemaskował naszą metodę komunikacji z Agencją? Z Waldsteinem? Przeczytał treść ogłoszenia?

Nie przypominała mu już, że podczas ich ostatniego spotkania opowiedziała mu o wiadomości z informacją o Pandorze i że to za jego radą opublikowała anons z pytaniem, czy Waldstein coś o tym wszystkim wie. Nie przysłała tutaj przecież, by zrzucić na niego całą winę. Żadne z nich nie mogło wiedzieć, że pytanie o Pandorę wywoła takie komplikacje.

– Rzecz w tym, że ktoś dowiedział się o miejscu i czasie naszego pobytu, Foster, i w każdej chwili może tu przysłać więcej robotów. Musimy uciekać. I to... tak szybko, jak się da!

Foster powoli pokiwał głową. W jego oczach odbijał się smutek.

– Ta Agencja nie mogła trwać wiecznie. Założono ją jako doraźny środek zapobiegawczy. – Podniósł na nią wzrok. – Powinnaś o czymś wiedzieć, Maddy. – Przeciągnął językiem po zębach pod wydętymi wargami. – Maddy, Agencja... to tylko...

– To tylko my. – Wzruszyła ramionami. – Wiem o tym.

– Naprawdę? – Uniósł krzaczastą brew. – Już ci o tym mówiłem? Jezu. To musi być irytujące słuchać, jak się...

– Odchodzimy, Foster. Odchodzimy jutro z samego rana. Zapakujemy wszystko, co nam potrzebne do utworzenia nowej bazy, i znajdziemy inne miejsce na prowadzenie dalszej działalności.

– Słusznie. – W zamyśleniu pokiwał głową. – To rozsądne podejście.

– Chcę, żebyś pojechał z nami.

Foster potrząsnął głową.

– Nie mogę wrócić. Dobrze wiesz, że nie mogę po raz kolejny wejść do pola translokacyjnego.

– Wiem. – Złapała jedną z jego delikatnych dłoni i ścisnęła lekko. – Wiem. Na razie tylko się przeprowadzamy. Żadnych podróży w czasie, żadnych pól, żadnych części tachionowych. Nie doznasz żadnych obrażeń. Wyjeżdżamy z Nowego Jorku. Tylko tyle.

Uderzyła ją myśl, jak bezbrinnie i delikatnie wygląda. Kiedy werbował ich do Agencji, to choć wyglądał staro, sprawiał wrażenie

krzepkiego staruszka, zaprawionego w boju weterana. Był twardy jak skała ukryta pod zerodowaną skorupą.

– Maddy... obawiam się, że nie zostało mi wiele czasu. – Uśmiechnął się tak, że stopniało jej serce. – Umieram. Mam raka. To koniec.

Doskonale o tym wiedziała, to też wyznał jej podczas jednego z poprzednich spotkań.

– Foster... chciałabym móc cię tu zostawić. – Maddy rozejrzała się po parku. Promienie słońca przeświecały przez wrześnie liście, które zaczynały żółknąć i opadać na ziemię. Pięknie tu. Wcześniej powiedział jej, że zostało mu góra kilka tygodni życia, przy odrobinie szczęścia kilka miesięcy nawet. Tempa rozkładu komórkowego będącego następstwem licznych podróży nie dało się precyzyjnie obliczyć. Ale proces degradacji postępował, to wiedzieli na pewno.

– Zasłużyłeś na to – powiedziała. – Oddałeś Agencji całe swoje życie... i masz absolutne prawo zrobić z jego resztką, co tylko zapragniesz. Ale... ale my cię potrzebujemy. – Ponownie ścisnęła jego dłoń. – Ja cię potrzebuję.

– Wiesz dokładnie tyle, ile ja wiedziałem... wiem, Maddy.

Potrząsnęła głową.

– Nie. Nie wiem. Popełniam błąd za błędem. Odwałam kaszanę. Odnajduję rzeczy wszyte w historię... – Znów potrząsnęła głową. Niewłaściwe słowo. – ...wtopione w historię. Wiadomości napisane specjalnie dla nas, nie wiem, może nawet napisane przez nas samych! Zupełnie jakbyśmy już kiedyś tu byli. Nie rozumiem, co się dzieje. Nie... – Jej głos aż wrzał od emocji. Zamilkła, odwróciła wzrok od gołębi i popatrzyła na brzdąca w szelkach ochronnych, który dręczył ptaki spacerujące po dróżce. – Już dłużej nie mogę tego robić sama. Nie jestem gotowa. Nie byłam gotowa, gdy od nas odszedłeś. I nie byłam gotowa, gdy to wszystko się zaczęło – wyszeptwała. – Ale ty i ja? Jesteśmy stworzeni do tej roboty.

Foster się uśmiechał. Tym swoim głupim, przekornym uśmiechem staruszka.

– Wiesz, czasem nie wiem, czy powinnam nazywać cię Liamem czy Fosterem.

Zaśmiał się. Suchym, starczym rechotem. Parsknął buntowniczo jak człowiek na łożu śmierci.

– Czy Liam już wie? O mnie?

Maddy skinęła głową.

– Trochę jest nawet dumny, że pewnego dnia zamieni się w ciebie.

– Ale pewnie nie jest zachwycony, że stanie się to szybciej, niż myślał.

– Myślę, że już się z tym pogodził. – Wzruszyła ramionami. – Zaakceptował to. Przecież gdybyś nas nie zabrał wtedy, już dawno bylibyśmy trupami. Dostaliśmy trochę darmowego czasu. Bonusowe życie, no nie?

– Tak jest.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc na parę młodych ludzi, którzy śmignęli tuż obok na rolkach. On próbował ją nauczyć jazdy, ona szydziła z własnej niezdarności. W ich świecie nie było cienia troski.

– Proszę cię, Foster – nalegała Maddy. – Wyjedź z nami, proszę.

Powiódł wilgotnym wzrokiem za parą oddalających się zygzakiem rolników.

– Tylko mi nie każ przed sobą klękać – zażartowała.

– Dobrze. – Skinął głową. – Pojadę.

ROZDZIAŁ 4

Nowy Jork
10 września 2001 roku

– Ile może mieć... hę? Czternaście lat? Piętnaście? – spytał Liam, wpatrując się przez gęsty proteinowy gulasz w niewyraźny zarys postaci zawieszanej w próbkówce hodowlanej.

– Trudno stwierdzić – odrzekła Sal. Stała z nosem przyciśniętym do ciepłego pleksiglasu. Klon pływał w embrionalnej pozycji z podciągniętymi pod brodę kolanami owiniętymi szczupłymi ramionami. W przeciągu dwunastu godzin malutkie ciało dziecka zamieniło się w korpus nastolatki. – Może jest trochę młodsza – zdecydowała. – Przez tę ohydłą breję ciężko dostrzec szczegóły.

Liam nie był do tego przekonany, ale Maddy kazała im ją wychować. Nie mogli jej zostawić, zresztą pewnie nie potrafiliby tego zrobić, nawet gdyby musieli. Niebawem znów stanie się Beki. Członkiem zespołu.

A pozostałe płody w stanie hibernacji będą musieli zwyczajnie splukać. Wszystkie znajdowały się w zbyt wczesnej fazie wzrostu, żeby przeżyć poza roztworem proteinowym. Miały ciała rozmiarów pięści, do główek nie wtłoczono jeszcze żywego, organicznego szczurzego mózdzku, a jedynie kawałki silikonu wielkości karty SIM; zapakowanie i wyrzucenie tych żałosnych kształtów pływających w innych próbkówkach na pewno nie będzie należało do przyjemności.

Liam ponownie spozjrzał na twór, z którego niedługo wyrośnie Beki.

– To tylko dziecko. Młodsze niż my. Przyda nam się na coś?
– I tak będzie miała większą krzepę niż ja i Maddy razem wzięte. Przyda się.

Wzruszył ramionami.

– Aha... jak weźmie udział w licealnych zawodach siłowania się na rękę.

Sal westchnęła.

– Nie marudź, pora zabrać się do roboty.

Liam skinął głową i zmarszczył nos, przewidując, co się za chwilę wydarzy. Sal uklękła i dotknęła małego błyszczącego wyświetlacza na panelu sterowniczym pompy. Cichy pomruk aparatury zamarł. Na początku mieli supernowoczesne próbówki – reaktory hodowlane W.G. Systems z przymocowanym do dna napędem. Najpierw cylinder automatycznie obracał się pod kątem czterdziestu pięciu stopni, potem otwierał się dolny właz śluzowy, a na podłogę wypadał klon i roztwór proteinowy. Teraz dysponowali jedynie próbówką domowej roboty, ze zniszczonego systemu udało im się uratować co prawda pompę i panel sterowniczy, ale pleksiglasowy cylinder odkupili od likwidowanej gorzelni. Pozostałe próbówki wzrostowe wyglądały podobnie.

Liam złapał za górną część ciepłego pleksiglasowego cylindra.

– Pomóż mi, spróbujemy go delikatnie przechylić.

Oparła się ciałem o próbówkę, a Liam mocno za nią pociągnął. Cylinder zachwiał się, ciecz wewnątrz zapluskała. Pływający wewnątrz płód poruszył się, wierzgnął i zaczął się budzić, zyskiwać świadomość.

– Powoli, Liamie! – stęknęła Sal. Cylinder okazał się cięższy, niż myślała.

– Złapałem go... wszystko dobrze, dobrze. Pchaj dalej, ja spróbuję cholerstwo przechylić.

Nie przestawał ciągnąć. Próbówka obróciła się na tyle, aby lepka maź zaczęła przelewać się przez krawędź i pluskać na podłogę.

– Liamie! To zbyt ciężkie! Nie daję...

– Nie panikuj mi tu. Zaraz to odciążymy. Wyleje się trochę brei i robi się lżejsze.

– Wyśliznie się nam! To...

– Spokojnie! Trzymam to mocno, dobrze będę...

Krawędź wyślizgiwała mu się z rąk, a dno próbówki zaczęło pod kątem osuwać się na podłogę. Cylinder walił się na ziemię jak ściana sekwoja, Sal odskoczyła w ostatniej chwili, unikając pewnego pogruchołowania kości. Pleksiglas z łomotem uderzył o beton, a przez odsłoniętą górną krawędź eksplodował różowawy roztwór, całkowicie zalewając Hinduskę.

Klon wyśliznął się ze środka wraz z mniejszą falą pulpy i wylądował wprost na kolanach dziewczyny.

– Ach, Jezu! – Liam bezradnie zamachał rękami. – Przepraszam, Sal! Wyślizgnęło mi się pieroństwo...

Sal otarła twarz z mazi i wydłubała resztki z kącików ust i oczu. Świństwo było gęste jak stężała galareta.

– Nienawidzę cię, Liamie – wysyczała, a chłopak mógł przysiąc, że mówi poważnie. – Ty podły Irolu.

Liam, ślizgając się po mazi, podbiegł do Sal i uklęknął przy niej, po czym jął bez sensu wymachiwać rękami przed jej twarzą. Bardzo chciał przyjaciółkę pocieszyć, ale wołał nie ryzykować kontaktu fizycznego z cuchnącą i toksyczną na pewno skorupą.

– Tak strasznie... strasznie mi...

– Zaraz zwymiotuję – jęknęła Sal, ze wszystkich sił starając się nie wdychać smrodu przypominającego odór gnijącego mięsa.

– Co się tam u was stało? – Usłyszeli głos Rashima.

– Nic się nie stało! – odkrzyknął Liam. – Ale na razie nie wchodzi! Straszny tu bajzel! – Spuścił wzrok na klona, który wciąż leżał z głową na kolanach Sal, zapobiegawczo zwinąwszy się w kulkę. Powoli otworzył oczy, szare. Duże. Zaciekawione i odrobinę zatrwożone.

Liam pochylił się nad nim, uśmiechnął i delikatnie machnął ręką na przywitanie.

– Cześć, maleństwo!

Usta jednostki otworzyły się i kłapnęły kilkakrotnie. Sączyła się z nich pompowana z płuc maź.

– Grhh. – Sal podniosła głowę klona z kolan i położyła go na podłodze. – Całkiem przesiąkłam tą pinchuddą.

Liam już jej nie słuchał.

– Cześć, mała. Wszystko cacy? – zagruchał do jednostki. Nie spowijała jej już mgła wirującego łososiowego roztworu, teraz wyraźnie widział kobiecą jednostkę pomocniczą. Ciężko było precyzyjnie określić wiek istoty z powodu jej łysej głowy. Taka stara maleńka.

Schylił się i podniósł ją za ramiona do pozycji siedzącej, po czym wziął duży ręcznik i owinał nim jej ciało.

– Nie musisz dziękować.

Sal cmokała z obrzydzeniem, bo stygnący żelatynowy roztwór białkowy przykleił jej kruczoczarne włosy do twarzy.

– Ach, słodziaku... jej to zaproponowałeś ręcznik.

Rashim siedział po turecku przed szafką obwodów elektrycznych wehikułu translokacyjnego, SpongeBubba zerkał przez jedno z jego ramion, Bob przez drugie.

– Niewiarygodne – wyszeptał. – Ten projekt to... to dzieło sztuki. Popatrz tylko na to, Bubba, widzisz? Zdołał całkowicie obejść układ oscylacyjny.

– Widzę, skippa!

Naukowiec odwrócił się do Boba.

– Nasze pole systemowe było nieustannie narażone na czynniki dystorsyjne. Zakłócenia zewnętrzne i wewnętrznie generowane oscylacje. Stałe reakcje zwrotne.

– Wasze urządzenie translokacyjne było dużo większe niż nasze, prawda?

Rashim pokiwał głową.

– Tak. Gigantyczne. A duże gabaryty to cały szereg dodatkowych problemów. Ale nawet biorąc pod uwagę różnicę skali... – Ponownie potrząsnął głową, podziwiając ergonomię obwodu elektrycznego. – Nie można nie zachwycić się tą pomysłową konfiguracją. – Wąskie wargi naukowca rozciągnęły się w uśmiechu: „Roaldzie Waldsteinie, wyprzedziłeś swoją epokę o pół wieku”.

– Powinniśmy zabrać tę szafkę ze sobą – powiedział. – Wiem, że większość silikonowych modułów można swobodnie wymienić na dostępne dzisiaj komponenty elektroniczne, ale potrzebuję trochę czasu, żeby dowiedzieć się, jak to wszystko złożyć.

– Potwierdzam. Zabierzemy całą szafkę.

– A co z oprogramowaniem sterującym? – Rashim spojrzał na rząd jednostek centralnych pod biurkiem. Na każdej z nich paliły się światełka systemowe i migotały diody LED pracujących dysków twardych. – Będę też potrzebował oprogramowania. Jest tak samo ważne dla poprawnego funkcjonowania urządzenia jak obwody.

– Potwierdzam.

Rashim potrząsnął głową.

– Te komputery wyglądają przedpotopowo. Jakim cudem działa na nich oprogramowanie wehikułu Waldsteina?

– Połączono je w lokalną sieć i zapewniają odpowiedni poziom mocy obliczeniowej – odpowiedział Bob. – A zainstalowane oprogramowanie nie jest oryginalne.

Rashim przywołał w pamięci czarująco staroświeckie nazwy technologii komputerowych z pierwszej dekady dwudziestego pierwszego wieku. Microsoft. Windows. Linux. Ach, strasznie prymitywne to były czasy. Oprogramowanie pisało wówczas cyfrowo w angielskim pidżynie. W niczym nie przypominało to eleganckich strumieni danych z jego czasów: kodów automatycznie pozyskiwanych z innych kodów.

– Nie będziemy musieli zabierać ze sobą tych starych, bryłowych komputerów?

– Zaprzeczam. Wystarczy wyjąć dyski twarde tych urządzeń.

„Dyski twarde?” – Rashim przypomniał sobie ten termin. Dane w tych czasach przechowywano na metalowych dyskach osadzonych w wytrzymałych obudowach. Kolejne prymitywne rozwiązanie. Straszne marnotrawstwo. Największą wydajność gwarantują przecież bazy danych zatopione w wodnych molekułach.

– Oczywiście... tak. Czy wiedziałbyś, jak to zrobić?

– Mam teoretyczne podstawy i wiem, z jakich elementów składa się architektura systemowa komputerów marki Dell. Również systemowa sztuczna inteligencja, znana jako komputer-Bob, może przekazać ci szczegółowe instrukcje na temat demontowania tej architektury. Ale tylko Maddy dysponuje praktycznym doświadczeniem w tym zakresie.

– Dobrze. Okej. – Rashim uszczypnął koniuszek wąskiego nosa. – W takim razie najlepiej będzie, jeśli zaczniemy demontaż dopiero po jej powrocie.

– Potwierdzam.

Podniósł się z ziemi i spojrzał na Sal, która po przeciwległej stronie bazy rozmawiała szeptem z inną dziewczyną, bladą jak duch i kompletnie łysą.

– Kto to? – radośnie zatrząkotał Bubba.

– To jednostka pomocnicza – odparł Bob. – Zanim wyruszyliśmy uporać się z kontaminacją wywołaną przez wasz projekt Exodus, uruchomiliśmy jej proces hodowlany.

– To genetycznie zaprojektowana hybryda ze sztuczną inteligencją, SpongeBubba – dodał Rashim. – W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych armia Stanów Zjednoczonych opracowywała takie modele. To żołnierze doskonali. Również my, w ramach projektu Exodus, planowaliśmy zabrać ze sobą pluton genetycznie zmodyfikowanych robotów. – Zerknął na Boba. – Nie chcę cię urazić, ale były to szczuplejsze i dużo bardziej zaawansowane modele niż ty.

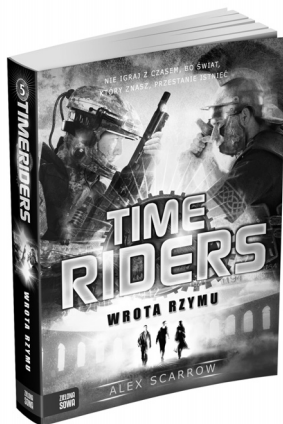
Bob chmurnie zmarszczył czoło.

– Wiem. – Nagle na jego ustach wykwitło coś na kształt iro-
nicznego uśmieszku. – Nie chcę cię urazić, ale jednego z nich
udało mi się rozwalić.

– Tak, udało ci się. – Rashim z uznaniem skinął głową i nie-
pewnie podniósł dłoń, aby przybić z nim piątkę. – Dobra robota,
wielkoludzie.

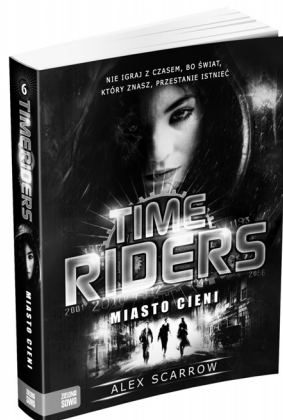
Bob przekrzywił łepetynę i z zaciekawieniem spojrzał na dłoń
Rashima, bezradnie zawieszoną w powietrzu.

– Aj... nieważne – powiedział wreszcie naukowiec, z zażeno-
waniem opuszczając rękę.

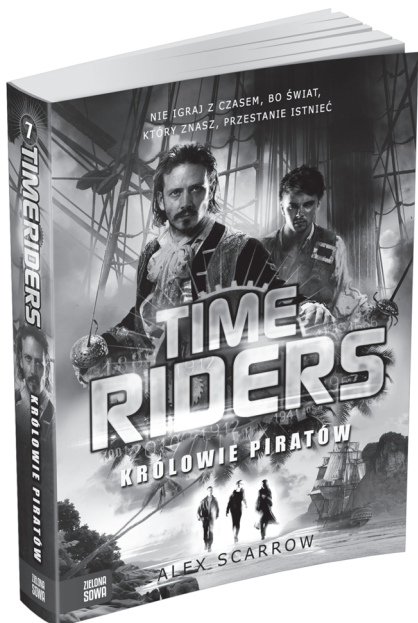


W piątym tomie zobaczysz,
jak wyglądało starożytne
Cesarstwo Rzymskie.

W szóstym tomie przeniesiesz się
do wiktoriańskiego Londynu
i poznasz prawdziwą tożsamość
Kuby Rozpruwacza.



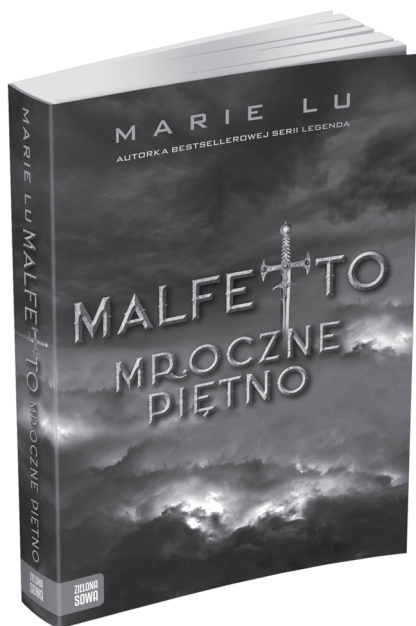
Już wkrótce tom siódmy!



Jeźdźcy w Czasie wyruszają ze swojej
nowej bazy w wiktoriańskiej Anglii na
przejażdżkę do 1666 roku, by na własne
oczy ujrzeć wielki pożar Londynu.
W chaosie pożogi Liam i nowy członek
drużyny, Rashim, trafiają w pułapkę po-
między ścianą ognia a Tamizą. Cudem
umykają na barkę tylko po to, by wpaść
w łapska bezlitosnego kapitana, który
ostrzy sobie pazury na skarby wielkich
mórz.

Wejdź na stronę
www.timeriders.pl

NOWA SERIA MARIE LU
autorki bestsellerowej serii „Legenda”



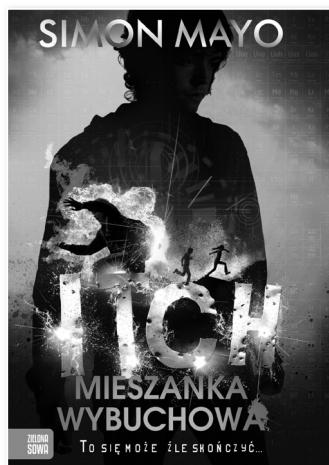
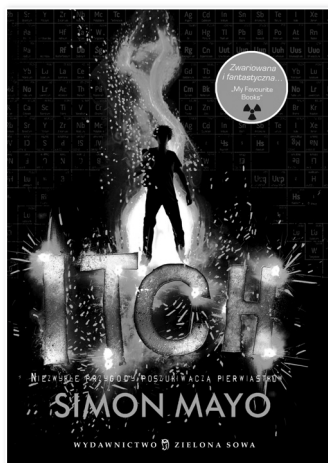
Adelina Amouteru wyszła cało z epidemii zarazy. Ale zostawiła ona na niej, i innych dzieciach, które przeżyły, swoje piętno. Czarne włosy Adeliny zmieniły się w srebrne, rzęsy wyblakły, a w miejscu lewego oka ma bliznę. Jej okrutny ojciec uważa, że jest ona *malfetto* – odmieńcem, który niszczy dobre imię rodu i stoi na drodze do bogactwa. Jednak, jak głoszą pogłoski, niektórzy z ocalonych z zarazy mają nie tylko blizny, ale również tajemnicze i potężne dary. Choć ich podobieństwo pozostaje niewyjaśnione, zaczynają być określani jednym mianem – Mroczne Piętna.

Teren Santoro służy królowi. Stoi na czele Osi Inkwizycji i do jego obowiązków należy wytropienie wszystkich Malfetto i zniszczenie ich, zanim oni zniszczą naród. Wierzy, że są niebezpieczni i mściwi, ale to właśnie Teren może być w posiadaniu jeszcze mroczniejszej tajemnicy.

Enzo Valenciano jest członkiem Bractwa Sztyletu. Ta tajemnicza organizacja wyszukuje Malfetto zanim zrobi to Oś Inkwizycji. Ale kiedy Bractwo odnajdzie Adelinę, poznają kogoś z mocami, jakich nigdy nie widzieli.

Adelina chce wierzyć, że Enzo jest po jej stronie, zaś Teren to prawdziwy wróg. Ale drogi tej trójki skrzyżują się w nieoczekiwany sposób, gdzie każdy będzie walczył z każdym w odmiennej, własnej bitwie. Ale wszyscy są pewni jednego: Adelina posiada moce, które nie należą do tego świata. Mściwa ciemność załęgła się w jej sercu. I pragnienie zniszczyć każdego, kto ośmieli się stanąć jej na drodze.

Niezwykle intrygująca i zaskakująca
powieść sensacyjna dla młodzieży



Itchingham Lofte, znany jako **Itch**, to zafascynowany chemią czternastolatek. Jego celem jest skompletowanie wszystkich elementów układu okresowego pierwiastków. Pewnego dnia dokonuje niesamowitego odkrycia nowego, niezwykle pierwiastka. Początkowo nikt nie może w to uwierzyć. Jednak szybko okaże się, że ktoś za wszelką cenę postanowił zdobyć ten bezcenny element, a Itch znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie...

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie
rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej
przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiekolwiek zmiany w zawartości publikacji
bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.**

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!

Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl